

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 3 lipca 1915. Nr. 27.

Po oswobodzeniu Lwowa.

Zdobyta armata rosyjska, ustawiona na Rynku krakowskim w dniu oswobodzenia Lwowa.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy III-ci kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do **7 lipca** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Czeki załączyliśmy już do poprzedniego numeru.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16	koron	17·—	marek
Półrocznie	8	„	8·50	„
Kwartalnie	4	„	4·25	„



Po oswobodzeniu Lwowa: Członkowie krakowskiej Rady miejskiej, z prezydentem dr. Leo (X) na czele, udają się do komendy twierdzy z życzeniami z powodu zwycięstwa.

Po oswobodzeniu Lwowa.

Prędzej, niż można było się spodziewać, skończyło się panowanie Rosyan w Galicyi. Rozbite armie rosyjskie musiały opuścić stolicę kraju, a ten fakt stanowi niewątpliwie zwrotny moment w obecnej wojnie.

Odzyskanie Lwowa — to najdotkliwszy cios, zadany Rosyi i jej wojującemu nacyonalizmowi. Czem było zajęcie Lwowa dla Rosyan — nie potrzeba zaznaczać. Był to właściwy cel Rosyi w obecnej wojnie, było to urzeczywistnienie rosyjskich panslawistycznych pretensyi do Galicyi Wschodniej, którą jeszcze na długo przed wojną nazywano obłudnie w prasie rosyjskiej „ujarzmioną Rusią podkarpacką".

Nacyonalizm rosyjski tryumfował. Za armią rosyjską ściągnęła do Galicyi sfora czynowników i popów, którzy odrazu zabrali się do dzieła rusyfikacyi. Tryumf ten był jednak przedwczesny. Po rozbiciu armii rosyjskich popi i czynownicy musieli wracać tam, skąd przyszli, a wraz z opuszczeniem Lwowa przez Rosyan — skończyła się ich nacyonalistyczna impreza w Galicyi...

Dzień 22 czerwca, w którym wkroczyła do Lwowa druga armia wojsk austro-węgierskich pod dowództwem jen. Boehm-Ermolego, będzie stanowić jedną z ważniejszych dat obecnej wojny...

Lwów, któremu usiłowano nadać za wszelką cenę charakter rosyjski, stał się znów stolicą Galicyi i placówką polskości na wschodzie...

* * *

Rosyanie zdawali sobie sprawę z klęski, jaką ponoszą pod względem strategicznym i politycznym, opuszczając Lwów, w którym uważali się już za gospodarzy. To też stawiali nacierającym armiom rozpaczliwy opór, który jednak nie uchronił ich od ostatecznej klęski. Zmuszeni do opuszczenia Lwowa, upamiętnili ten fakt na swój sposób, biorąc mnóstwo zakładników, których wywieziono w głąb Rosyi. Między innymi poważnymi obywatelami wywieziono prezydenta Tadeusza Rutowskiego, który w czasie



Po oswobodzeniu Lwowa: Ul. Floryańska, udekorowana chorągwiami.

inwazyi rosyjskiej był prawdziwym ojcem i opiekunem dla ludności Lwowa, oraz wiceprezydentów dra Leonarda Stahla i dra Filipa Schleichera, jak również wielu radnych.

W ciągu dwóch dni ostatnich przed opuszczeniem Lwowa przez Rosyan, mieszkańcy przeżyli bardzo ciężkie chwile.

W pobliżu nas — pisze lwowski „Wiek Nowy" z dnia 22 czerwca — huragan ognia, łuny pożarów. Dzień i noc odgłos strzałów armatnich. Huk ich wstrząsa szybami okien, napięcie ogólnego zdenerwowania doszło do punktu kulminacyjnego. Mieszkańcy nie tylko nie śpią nocami, ale we dnie nawet przeżywają okropne chwile. W niedzielę dnia 20 czerwca, w biały dzień, rabunki w centralnym punkcie miasta — w Rynku, a w nocy z niedzieli na poniedziałek splądrowano 37 sklepów jubilerskich w oczach mieszkańców, a wszelkie nawoływania o pomoc pozostały bez echa.

Miasto wydane zostało na łup rozszalałego motłochu, częstokroć pijanego, ponieważ złupiono magazyny wódek i alkohol rozpętał najdziksze instynkty. Żołdacy rosyjscy kierowali bandytyzmem i zachęcali szumowiny miejscowe i rosyjskie do rabunków.

Jednocześnie z tymi rabunkami Lwów stał się widownią pożarów. Od niedzieli rana paliły się magazyny kolejowe, domy, budki strażnice, wagony, warsztaty kolejowe, hale maszyn, wogóle cały kom-

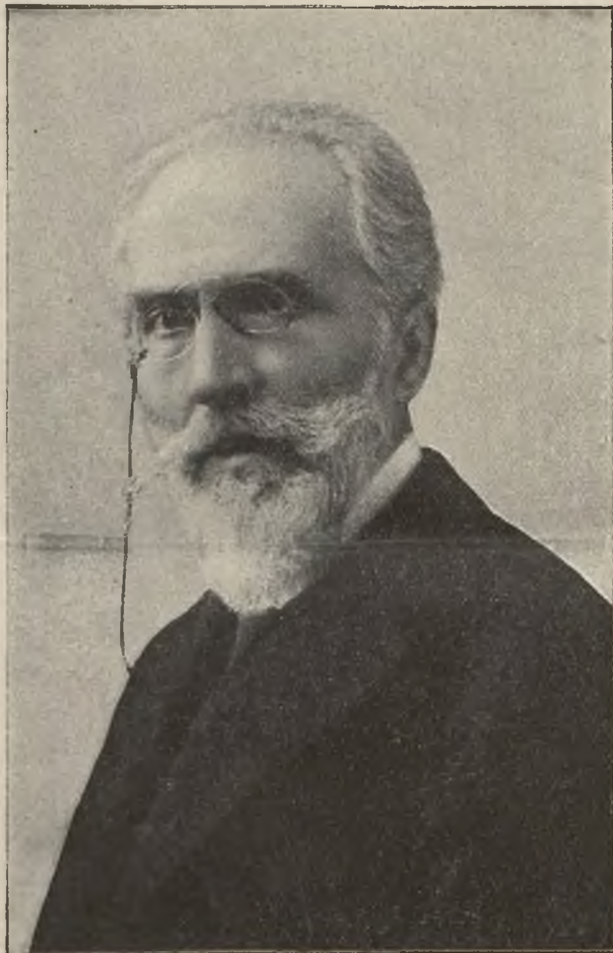


Teatr miejski we Lwowie.

Po oswobodzeniu Lwowa:



Gmach „Ossolineum" we Lwowie.



Po oswobodzeniu Lwowa: Prezydent miasta Lwowa dr. Tadeusz Rutowski.

pleks zabudowań dworca głównego stanął w płomieniach. Piękny dworzec kolejowy we Lwowie stał się też prawie kupą gruzów.

We wtorek dnia 22 czerwca nad ranem w rozmaitych punktach miasta wybuchły nowe pożary. Były to już jednak ostatnie chwile gospodarki rosyjskiej we Lwowie. O godz. 10 tej rosyjskie patrole opuściły miasto, a o godz. 4 tej popołudniu komendant drugiej armii jenerał Boehm Ermolli ze sztabem wkroczył do Lwowa wśród maszerujących kolumn wojska. Miasto, którego wewnętrzna część prawie wcale nie została przez nieprzyjaciela uszkodzona, była suto udekorowane. W ulicach, z okien i z balkonów tysiące ludzi witało komendanta armii i wojsko z serdecznym zapałem. Deszczem kwiatów zasypywano samochody.

* * *

Odzyskanie Lwowa obchodzono bardzo uroczyście w Krakowie. W dniu 22 czerwca przed wieczorem dzwony wszystkich kościołów obwieściły mieszkańcom tę radosną wiadomość. Na mieście zapanował ruch niezwykły — tłumy otaczały kolporterów, sprzedających nadzwyczajne dodatki gazet.

Dnia następnego już od rana Kraków przystroił się wspaniale. Domy udekorowano chorągwiami, a rozlepiona odezwa prezydenta miasta dra Lea zapowiadała uroczystości manifestacyjne, które rozpoczęły się o godzienie 8 wieczór uroczystem posiedzeniem członków Rady miasta Krakowa.

Po posiedzeniu Rady miasta, prezydent dr. Leo zeszedł na balkon nowego skrzydła i tu w otoczeniu posłów lwowskich oraz radnych miasta Krakowa i Podgórza wypowiadział mowę do zebranej publiczności, zapełniającej szczelnie obszerny plac.

Przemówienie swe dr. Leo zakończył okrzykiem na cześć cesarza: „Niech żyje!“ Tysiączne zastępy powtórzyły okrzyk ten trzykrotnie, orkiestra odegrała hymn ludów.

Prezydent wzniósł dalej okrzyk: „Niech żyje Lwów, jego Rada i prezydent Rutowski!“ Okrzyk powtórzyli zebrani, a orkiestra odegrała pieśń Legionów.

Z pod magistrastu ruszył olbrzymi pochód do komendy twierdzy. Na czele obywatelstwo krakowskie, dalej szli marynarze ze statków wiślanych, kolejarze, następnie orkiestra, grająca marsze, a za nią wśród szpaleru lampionów, członkowie Rady miasta Krakowa i radni podgórscy. Pochód, który z trudem się przeciskał wśród szpaleru tłumów, zamykały tysiączne rzesze obywatelstwa.

Pochód zatrzymał się przed komendą twierdzy, a do biura weszli reprezentanci Krakowa i Podgorza dla złożenia życzeń z powodu odniesionego zwycięstwa. W zastępstwie nieobecnego komendanta twierdzy jen. Kuka, przyjął deputacyę feldmarszałek Nastoupil w otoczeniu sztabu komendy.

Po przemówieniu prezydenta i odpowiedzi feldmarszałka Nastoupila deputacya zeszła na dół, gdzie prezydent dr. Leo przemówił do publiczności, poczem pochód ruszył na rynek krakowski. Dziesiątki tysięcy ludności zapełniły olbrzymi plac, na który



Po oswobodzeniu Lwowa: Wiceprezydent m. Lwowa dr Stahl.

reflektory rzucały z wieży maryackiej różnokolorowe blaski.

Gdy pochód zatrzymał się przed Sukiennicami, prezydent dr. Leo zabrał jeszcze raz głos, a przemowę swą zakończył okrzykiem: „Cała Polska niech żyje“.

Na tem skończył się program olbrzymiej manifestacyi, tysiączne wszakże tłumy pozostały dalej na Rynku, gdzie orkiestra katolickiej młodzieży rękodzielniczej grała przy pomniku Mickiewicza pieśni polskie. Orkiestra wojskowa obeszła Rynek, grając marsza Radeckiego. Obie orkiestry i korowód z lampionami zgrupował się około zdobytej armaty rosyjskiej, ustawionej na Rynku w dniu odzyskania Lwowa. Muzyki grały, ludność wznosiła okrzyki i dopiero po godz. 10-ej tłumy poczęły opuszczać rynek i rozeszły się do domów.

Z ostatnich walk w Galicyi: Automobil rosyjski, zniszczony pociskiem.





Ulica Batorego we Lwowie. **Po oswobodzeniu Lwowa:** Ulica Marszałkowska i gmach Sejmu we Lwowie.



Z ostatnich walk w Galicyi: Zwłoki Rosyan na pobojowisku.





Uniwersytet we Lwowie. **Po oswobodzeniu Lwowa:** Park Kilińskiego we Lwowie.

Józef Pollak.

Opowiadanie wiarusa.

Obrazek żołnierski.

— Niech dziadzio nam opowie, dziadunio taki dobry, to takie ładne! — wołali Staś i Kazio, przymilając się i łasząc.

— Eee! berbecie! dajcie mi pokój, tyle już razy to samo, aż do znudzenia — odrzekł dziadunio niby surowo, a na ustach igrał mu uśmiech, twarz pokraśniała, w oczach już łzy, jak dwie świeczki świeciły. Udawał tylko dziadunio, że nie ma ochoty, czekał jednak tylko powtórzonego ataku ze strony malców, a już zaraz wąsa siwego pomarszczoną ręką gładził, tarł wysokie czoło bliznami pokryte i zaczynał opowiadać. Chłopcy, choć na pamięć niemal umieli opowiadanie dziadunia o jego bohaterskich czynach, pokładli sie u nóg staruszka i z natężoną słuchali uwagą.

— Cesarz Francuzów, Napoleon — mówił staruszek, obiecał Polakom wolność i niepodległość, więc zbiegła się wiara pod chorągwie generałów Dąbrowskiego i księcia Józefa Poniatowskiego. Wiedzcie sobie, bąki, że i ja nie byłem ostatni, choć zaledwie ośmnaście lat mi było. Ojciec i matka — niech z Bogiem spoczywają — pobłogosławili, w skromny trzosik zaopatrzyli i wyprawili w drogę. Tak zaciągnąłem się w szeregi. A że każdy z nas umiał dobrze szablą machać i jeździć konno, więc się też obeszło bez długiej musztry. Choć chłodno bywało i głodno, piosnka nigdy z ust nie schodziła, bo też i ochota wielka była i taka zawziętość na Moskala, że nie mogliśmy doczekać się spotkania. A wszystko to były chwackie zuchy, że aż radość było rzucić okiem na te junackie, od słońca i skwaru ogorzałe twarze. Kiedy stanęliśmy w szeregu, to choć komendant srogiego udawał, z zadowolenia zażywał tabaki — ponoć sam cesarz ją zażywał na szczęśliwy koniec bitwy — i mruczał przez zęby: no! gałgany, spiszcie się porządnie! „Podług rozkazu, panie komendancie!“ ryknęło ze stu gardzieli i wszyscy wyprężyliśmy się jak struny. Dokazywaliśmy też cudów waleczności, choć nieraz bywało się w ciężkich opałach. Bywało w bitwach tak gorąco, jak w piecu piekarskim. Czasem śmignie ci przed oczyma jaka szablica moskiewska albo lufa pistoletu, myślisz, że już z tobą koniec, więc cię wściekłość ogarnia, rzucisz się jak ranny odyniec, machniesz kolbą albo odwiniesz pięścią, a zamalujesz na odlew, to ci jeno bluzgnie krew kozackiego gada na twój granatowy kabat i pędzisz dalej, aż znowu nabijesz się na mur kozackich pik. „Szach“ na lewo — „mach“ na prawo, tu w łeb, tam pod żebro i wolna droga. Zwykle po takich bitwach przychodziła pochwała od cesarza, którą ogłaszał sam marszałek i przypinał ordery. Cesarza samego, o którym mówiono, że ponury, że, jak na ciebie spojrzy, kolana drżą pod tobą, nigdy nie widzieliśmy, bo cesarz był i tu i tam i wszędzie. Nieraz żałowałem, że nie mogłem zbliska widzieć tego strasznego człowieka, o którym różne opowiadano sobie gadki, którego nawet najwyżsi dostojnicy bali się jak ognia. Nigdy nie przeczuwałem, że szczęście oglądania cesarza, a nawet rozmawiania z nim spotka mnie wcześniej, niż myślałem. A było to tak:

Komendantowi naszego pułku doniesiono, że na tyłach naszych pokazała się jakaś jazda nieprzyjacielska. Chodziło więc o to, by stwierdzić, co na tem prawdy i jaka siła nieprzyjacielska obeszła nam tyły. Bardzo to było, rozumie się, ważną rzeczą, tem ważniejszą, że nasz pułk stanowił osłonę cesarza, który miał się znajdować przed naszym pułkiem na niewielką odległość, skąd śledził przebieg toczącej się bitwy. Komendant wiec nasz rozesłał na wszystkie strony małe oddziały, które miały przywieźć pewne wiadomości. Jeden z oddziałów mnie przypadło prowadzić. Ruszyliśmy z kopyta. Posuwaliśmy się żwawo naprzód, bacznie rozglądając się naokół siebie. Huk armat, wrzawa i zgiełk przycichały w miarę oddalania się od pola bitwy. Jechaliśmy dobre dwie godziny i już straciliśmy nadzieję spotkania nieprzyjaciela, gdy nagle z za lasu wychylił się spory oddział kozaków. Uformowaliśmy się natychmiast do boju — było nas piętnastu — i runęliśmy bez namysłu na nieprzyjaciela. Wpadliśmy na nich jak burza i po krótkiej walce przepędziliśmy daleko za las. Ujechaliśmy jeszcze spory kawał, lecz nigdzie już nie znaleźliśmy śladu nieprzyjaciół. Kozacy, których przepłoszyliśmy, prawdopodobnie zabłąkali się w te strony, zgubiwszy drogę do swych wojsk. Wypełniwszy poruczone mi zadanie, uważałem za konieczne dać wypoczącć ludziom. Doliczyłem się ich zaledwie siedmiu. Brakło między innymi mego serdecznego przyjaciela, którego kochałem jak brata. W drodze powrotnej znalazłem go w lesie ciężko rannego, leżącego pod drzewem. Radbym był z całej duszy coś uczynić, by go ratować, lecz śmierć zdawała się być bliską. Na konia wziąć go nie mogłem, bo ciężko ranny byłby jazdy nie wytrzymał. Opatrzyłem mu więc rany, obwiązawszy je moją własną koszulą, wlałem do ust gorzałki, złożyłem go na miękkim mchu, nakryłem gałęziami i liśćmi i rzuciwszy ostatnie pozdrowienie, wskoczyłem na konia. Ciężko mi było i smutno, lecz nie było rady — trzeba było wracać do pułku i złożyć komendantowi raport. Tymczasem bitwa dobiegała do końca. Moskale pobici na głowę szybko się cofali, wobec czego nasza armia, a tem samem mój pułk, ścigając nieprzyjaciela, posunął się naprzód. Dostaliśmy rozkaz odmarszu. Zrobiło mi się markotno, układałem sobie bowiem, że zaraz po złożeniu raportu ruszę do lasu, by mego przyjaciela jakim sposobem przewieźć do obozu, a jeśli trzeba będzie, pochować. Rozkaz wymarszu odbierał mi wszelką nadzieję. Udałem się do komendanta z prośbą o pozwolenie opuszczenia pułku, lecz spotkałem się z odmową, a nawet groźbą surowej kary. Pomny jednak nauk ojcowskich, że w żadnym terminie nie godzi się opuszczać przyjaciela, potajemnie opuściłem pułk i ruszyłem co żywo w kierunku lasu. Przyjaciela zastałem jeszcze przy życiu. Z wielkiemi trudnościami przewiozłem go do lazaretu, opędzając się bandom chłopskim, wieszającym się na tyłach naszej armii. Natychmiast po powrocie zawezwano mnie przed komendanta. Wiedziałem, co to znaczy. Groziła mi śmierć za samowolne wydalenie się z pułku, lecz pewność, że przyjaciela uratowałem, sprawiała mi ulgę. Gdy stanąłem przed komendantem, zapytał mnie surowo:

— Gdzie byłeś?

— W lesie, gdzie stoczyliśmy potyczkę. Nie mogłem zostawić ciężko rannego przyjaciela na żer wilkom lub na dobicie bandom chłopskim, które za nami się wloką!

— Czy wiesz, co ci grozi?

— Wiem, panie komendancie!

— Zwrot! marsz! — huknął komendant i oddał mnie straży.

Pod wieczór ogłoszono mi wyrok, skazujący mnie na śmierć przez rozstrzelanie. Niczego nie było mi żal. Ścisnało mi się tylko serce na myśl, że nie będę mógł upaść rodzicom do nóg przed śmiercią i żałowałem, że nie będę mógł odwdzięczyć się Moskalom za świeże, krwawe rany na czole. Wyprowadzono mnie za obóz. Po drodze czyniłem ostatni porachunek z Bogiem i ostatnie słałem pozdrowienie moim zacnym rodzicom, ostatnie też skinienia głową słałem moim towarzyszom, którzy zdaleka szli za mną na miejsce, gdzie miano wykonać wyrok. Słyszałem wyraźnie ich pomruk: „Najdzielniejszego żołnierza, chlubę pułku rozstrzelać!“ Pomruk przechodził w coraz głośniejsze groźby, przekleństwa, niemal jawny bunt. Miałem w tem dowód, jak bardzo mnie kochali. Do oczu cisnęły mi się łzy, które całą siłą woli powstrzymywałem, by nie sądzono, że boję się śmierci. Postawiono mnie pod ścianą pierwszej z brzegu chałupy, naprzeciw ustawiła się kompania Francuzów z wymierzoną w moją pierś bronią. Ani nie drgnąłem na widok tych jeżących się luf, bo to człowiekowi dziwnem nie było. Ileż to razy ryczały armaty i pluły ogniem i kulami, a my na naszych koniskach pluliśmy na nie! Armat się człowiek nie lękał, a miałby się takich lufek bać? Zawiązano mi oczy. Komendant oddziału zakomenderował: ognia! Huknęła salwa, wypluła kule, lecz o dziwo! Żadna mnie nie ugodziła. Czyżby Francuzi tak źle strzelali?

— Pudłują! — zawołałem z oburzeniem.

Sądziłem, że usłyszę powtórną komendę, gdy czuję, że z tyłu odwiązują mi opaskę z oczu. Opaska spadła mi z oczu... zadrżałem! — Przedemną na trzy kroki stoi groźny cesarz Francuzów. Czułem, że krew uciekła mi z żył do serca, zbladłem jak chusta, nogi ugięły się podemną! Patrzy uporczywie, zimno, mierzy mnie od stóp do głów i milczy, ręka prawa w zanadrzu, mundur jego biały, na piersiach błyszczy krzyż legii honorowej.

— Nazywasz się?

— Kazimierz Sieniatycki! — wyjąkałem.

— Pułk?

— Czwarty ułanów.

— Wydaliłeś się z obozu — za to śmierć!

Cesarz mówił krótko, dobitnie. Zdawało mi się, gdyby z oczu ciskał błyskawice.

— Dlaczego to uczyniłeś?

— Najjaśniejszy panie — odrzekłem — sądziłem, że nie wolno mi opuścić przyjaciela, który uratował mi życie w ostatniej potyczce.

— Słusznie! — rzekł cesarz, a po chwili dodał: — Wiem o twoich walecznych czynach. Czy cesarza też nigdy nie opuścisz?

— Póki życia! póki tchu! najjaśniejszy panie! — zawołałem z całej piersi.

Cesarz uśmiechnął się łaskawie, a potem zdjął z swej piersi krzyż legii honorowej i własnoręcznie przypiął go do mego granatowego, ułańskiego kaftana, a z piersi żołnierzy opodal stojących wyrwał się gromki okrzyk: *Vive l'Empereur!*

— — — — — — — — — — —

Stary wiarus umilkł — łzy spływały mu po starej, bliznami pokrytej twarzy, Staś i Kazio w niemem uwielbieniu całowali jego ręce i tulili się do granatowego, ułańskiego kaftana, na którym błyszczał krzyż legii honorowej.

EDWARD WABURSKI.

NA POBOJOWISKU.

Walczyli i polegli śmiercią bohaterów, ale krew ich ofiarowaniem będzie na ołtarzu Ojczyzny, tryumfu fundamentem i okupieniem zwycięstwa...

— — — — — — — — — — —

Oto rozkwitły na polach śmierci krwawą purpurą kwiaty wojny, posiane szczodrą dłonią orężnego szału i hojnem bohaterstwem rycerzy.

W kwietnym ogrodzie śmierci, na cmentarzysku bohaterskich czynów, gdzie teraz zapomniane mogiły jeno i krzyże, była przed chwilą cisza i spokojność niezmącona. Aż przyszła żołnierska żądza i krwi wrażej nienasycone pragnienie. Przyszedł szał orężny i war gorący rycerskich zapędów. Przyszli synowie i wnucy Rapsodu Czynu, z mieczami ostrymi w dłoniach i z srogą zapalczywością rozpętali się w orkan zatraty. Stanęli sobie naprzeciw, pręgą ramiona i bary i w opętanych zmaganiach krwawią o stal dłonie i o spiż piersi i dyszą żądzą zemsty, gniewem okrutnym zawzięci.

— — — — — — — — — — —

I spłynęła rozlewną strugą na pól rozłogi purpura krwi. Bezcenne rubiny wsiąkły w glebę i dreszczem konania samotnego rozedrgało pole śmierci, dech wieczności i ekstaza bólu wniknęła w przestwór sferyczny.

Wśród szczęku oręża i broni pobrzęku, dopełniło się przeznaczenie bojowników, tajemne misteryum Nirwany. Skoszone bezlitosnym sierpem śmierci nieprzeliczonym pokotem legły łany umarłych rycerzy i spoczywają oto snem wiecznym. Już im ból nieznany, bowiem rozbrat wieczny z bytem ziemskim uczynili i z cielesnej powłoki ducha wyzwoliwszy, przekroczyli próg wieczności i rozdarli mistyczną zasłonę tajemnicy istnienia.

Kojąca biel śmierci przesłoniła źrenice poległych rycerzy. Spoczywają oto w Majestacie wieczności. A wokół wszyscy, którzy przetrwali tragedyę zniszczenia i ostali przy życiu, uklękli kornie, głowy odkryli i szeptem odmawiają na polu śmierci:

„Wieczne odpoczywanie“.

— — — — — — — — — — —

Modlitwa za pokój wieczny rozkołysała się nabożnem echem po bezmiarach cmentarzyska na ziemiach polskich i wtuliła się kornie pomiędzy mogiły i krzyże...

A ziemia matula wchłonęła w żyzne ongiś łany siewne krew swych synów-bohaterów.

— — — — — — — — — — —

Kiedy mrok nocy otuli pobojowisko chustą, z szarej przędzy mgły utkaną, jakby dla ukojenia krwawiących cierpieniem ran, wówczas z kurzawy krwi i zwału trupów wyrasta ku niebu krzyż Męki.

Ogromny, nieśmiertelny znak Odkupienia i świadectwo Golgoty Chrystusowej...

I cud iści się na jawie w Ogrodzie śmierci. Z katafalku pola walki wstają polegli rycerze i pielgrzymują w długim korowodzie do krzyża Męki. A Chrystus na krzyżu rozpięty garnie do siebie poległych, błogosławi braci w Cierpieniu i pocałunkiem serdecznym obmywa krew na ich ranach zastygłą.

I chylą się kornie do zmartwiałych stóp Chrystusa polegli rycerze, całują ślady boskich ran i spijają z nich gorycz bólu.

A Chrystus garnie ku sobie poległych bojowników, choć przykazaniom Jego i nauce wzniosłej zadali kłam, piętno Kainowej zbrodni przyjąwszy na się i błogosławi braci w Cierpieniu na wędrówkę do gaju Ukojenia, w krainę Nieśmiertelności...

— — — — — — — — — — —

Jeno na umęczonych ustach Odkupiciela, widnych stygmatem bólu, zawisa gorzki wyrzut i nieme pytanie:

Czemże ci zatem była Męka moja i trud mego Apostolstwa ludzkości?

Kraków, w roku wielkiej wojny 1915.

Na wieczny spoczynek.

Wojna obecna, pomijając olbrzymią liczbę ofiar, przypomina dawne wędrówki narodów. Na placu boju zbiegły się milionowe armie, w których są wszystkie narodowości, ze wszystkich zakątków państw, prowadzących wojnę. Ziemie polskie, na których toczy się najzaciętsza walka, stały się też cmentarzyskiem całej prawie Europy, na którem spoczęli w grobie przybysze z najdalszych okolic: z Tyrolu, z nad Renu, z nad Donu i z Syberyi.

Ślady tej wojennej wędrówki narodów widzimy nie tylko na polach bitew, usianych żołnierskiemi mogiłami, ale i w miastach, nie objętych bezpośrednio pożogą wojenną, lecz które stały się przytułkiem dla ofiar wojny.

Kraków, tak samo jak i inne miasta, jest obecnie jednym wielkim szpitalem, w którym leczą się ranni ze wschodniego terenu wojny. Są tu przedstawiciele wszystkich narodowości monarchii, a po ostatnich walkach przywieziono również mnóstwo rannych żołnierzy rosyjskich.

I jedni i drudzy znajdują tu troskliwą opieką, ale nie wszystkim sztuka lekarska może pomódz. Wielu tych przybyszów — znajduje tu też wieczny spoczynek na cmentarzu Rakowickim, gdzie urosła już olbrzymia kwatera grobów żołnierskich, którą przedstawia jedna z naszych illustracyi. Na drugiej widzimy kopanie wspólnej mogiły dla Rosyan, zmarłych w szpitalach krakowskich.



Na wieczny spoczynek: Kopanie wspólnego grobu na cmentarzu rakowickim w Krakowie, dla Rosyan, zmarłych w szpitalach krakowskich.

Z życia naszych uchodźców.

Z końcem kwietnia, z inicyatywy krajowego polskiego komitetu pomocy dla wychodźców z Galicyi, przebywających na tułaczce w Styryi, z siedzibą w Gracu, przez delegata swego p. Józefa Bobra, inspektora szkół z Gorlic, założono w Judenburgu miejscowy polski komitet pomocy. Do komitetu wybrano pp.: Juliana Michonia z Jasła (przewodniczący), Franciszka Łukaczyńskiego z Jasła (zastępca przew.), Józefa Wyrwalskiego z Jasła (sekretarz), Pfistererową z Jasła, Antoniego Welanyka z Krakowa (skarbnik), Beresia z Rzeszowa, Karkoszkę z Sanoka, Michoniową z Jasła, Wąsikiewiczową z Jasła, Antoniego Zakrzewskiego z Kołomyi, Maryę Schmidtównę i Marylę Michoniównę (nauczycielki), Głuszkową z Jasła i Teodora Sarneckiego z Jasła.

Komitet ten uchwalił otworzyć polską szkołę ludową w Judenburgu. Mimo wielkich trudności udało się komitetowi wynająć lokal na szkołę i już z początkiem wpisy przyniosły nadspodziewany wynik, bo zgłosiło się 60 dzieci. Dziś szkoła liczy 72 dzieci.

Uroczystość otwarcia szkoły odbyła w dniu Swięta Narodowego 3 maja. W przeddzień, 2 maja urządzono w lokalu szkółki sprzedaż kokardek o barwach narodowych na cel T. S. L., Legionów polskich i miejscowej szkoły. Uzyskano w ten sposób 50 K. 62 h. W dniu 3 Maja po mszy św., którą w miejscowym kościele parafialnym o 8 godz. rano odprawił ks. Michał Jeż, katecheta z Ropczyc, obecnie przebywający na tułaczce w Knittelfeld obok Judenburga, dzieci i uczestnicy uroczystości zgromadzili się w lokalu szkoły na poranek. Po krótkiem zagajeniu przez przewodniczącego komitetu, przemówił podniośle do dziatwy i ich rodziców ks. Michał Jeż, oddając szkołę dzieciom na ich użytek, a rodzicom w opiekę. Następnie p. K. Sielecki ze Lwowa przemówił na temat Konstytucyi 3 Maja, a p. Włodz. Sielecki ze Sambora oddeklamował z werwą wiersz Konopnickiej, zastosowany do naszej obecnej niedoli.

Na wieczny spoczynek: Groby ofiar wojny na cmentarzu rakowickim w Krakowie.



Z życia obozowego: Punkt obserwacyjny i kwatera w brogu siana na terenie walk w Królestwie Polskiem.

Po poświęceniu lokalu przez ks. Jeża, zebrał p. Antoni Welanyk na cele Legionów, T. S. L. i miejscowej szkoły 74 kor., jak na te ciężkie czasy bardzo pokaźną sumę.

Kierownictwo szkoły objęła p. Marya Schmidtówna, siłą pomocniczą jest p. Maryla Michoniówna.



Z życia obozowego: „Dziś na obiad kurczęta"

Z powodu opuszczenia Judenburga w początkach czerwca przez p. Juliana Michonia, który udał się do Galicyi, oddał komitet przewodnictwo dotychczasowemu skarbnikowi, p. Antoniemu Welanykowi.

W czerwcu b. r. otworzył komitet kursa wydziałowe, na które uczęszcza 24 chłopców i dziewcząt. Rada szkolna delegowała do prowadzenia tych kursów p. Bandrowską, nauczycielkę wydziałową z Marburga.

Nadmienić tu jeszcze należy, że miejscowy inspektor p. Wiktor Jabornik i dyrektor szkoły żeńskiej p. Naugebauer pomagali przy otwarciu szkoły miejscowemu polskiemu komitetowi, który też wręczył im w dniu 2 czerwca 1915 r. adresy dziękczynne.



Z życia naszych uchodźców: Komitet pomocy dla wychodźców z Galicyi w Judenburgu (Styrya).

Piotrków po wypędzeniu Rosyan.

Pomimo ciężkich czasów wojennych, na terenie Królestwa Polskiego, zajętym przez wojska austro-węgierskie, rozwija się coraz bujniej życie społeczne i narodowe. Tam zwłaszcza, gdzie przebywają Legioniści, bije żywem tętnem wspólna praca nad lepszą dolą narodu. Jednem z miast, w którem po zrzuceniu jarzma rosyjskiego wre najbardziej intenzywna akcya narodowa, jest Piotrków, siedziba naczelnej komendy i władz Legionu. Ludność tamtejsza z entuzyazmem powitała ten pierwszy świt wolności, otaczając Legiony najżywszą sympatją. Potworzyły się miejscowe komitety, które współdziałają w pracy, a urządzane tam obchody i uroczystości narodowe, przez Rosyan tak surowo zakazywane, odbywają się teraz przy udziale niezliczonych tłumów. Urządzony w Piotrkowie obchód Konstytucyi Trzeciego Maja stał się olbrzymią manifestacyą narodową, w której wzięły udział zarówno władze, jak i wszystkie sfery ludności. Tak samo nieznany w Piotrkowie charakter miała procesya Bożego Ciała. Za celebransem ks. dziekanem Zagrzejewskim, wśród niezliczonych tłu-

Z życia naszych uchodźców: Dziatwa polskiej szkoły w Judenburgu (Styrya).



Piotrków po wypędzeniu Rosyan: Procesya Bożego Ciała. 1) Komendant Legionów jenerał Durski. 2) Gubernator austro-węgierski feldmarszałek Hefeller

mów, postępowali obok siebie ze świecami w rękach naczelny komendant Legionów jen. Durski i gubernator austro węgierski, feldmarszałek Hefeller, a szpaler tworzyli: po lewej stronie ułani Legionu z dobytemi szablami, a po prawej — austro-węgierscy honwedzi. Prócz tego w samej procesyi szły w ordynku kompanie Legionów, a wśród ustawionych na ulicy ołtarzy był także ołtarz Legionistów.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć z tej pamiętnej dla Piotrkowa procesyi Bożego Ciała.

Legioniści w Krakowie.

Znikły prawie z Krakowa szare mundury Legionistów. Po przeniesieniu do Królestwa Polskiego głównej komendy Legionów — nasi żołnierze są w grodzie podwawelskim bardzo rzadkimi gośćmi, przyjeżdżającymi tu tylko w razach wyjątkowych i na czas bardzo krótki. Bo i na kuracyę, i na odpoczynek wysyłano ich dotychczas do innych miast monarchii, choć niejednemu dusza się rwała do ukochanego Krakowa. Dopiero w ostatnich czasach, gdy po przełamaniu linii Dunajca możliwość oblę-



Piotrków po wypędzeniu Rosyan: Procesya Bożego Ciała przed ołtarzem Legionów.

Piotrków po wypędzeniu Rosyan Polscy Legioniści i żołnierze austro-węgierscy na procesyi Bożego Ciała.

Legioniści w Krakowie: Grupa rannych Legionistów w szpitalu fortecznym Nr. 9 (gmach wyższej szkoły przemysłowej).

żenia twierdzy znikła zupełnie — otworzyły się bramy Krakowa dla rannych Legionistów, których znaczna liczba przybyła do szpitali krakowskich po ostatnich walkach w Królestwie Polskiem. Otoczeni troskliwą opieką zarówno lekarzy i pielęgniarek, jak i miejscowych komitetów, przychodzą szybko do zdrowia, to też coraz częściej spotykamy na Plantach i na ulicach rekonwalescentów lub lżej rannych Legionistów, którzy przeszedłszy piekło ostatnich bitew, tutaj, w cichym Krakowie, leczą swe rany i odpoczywają po trudach wojennych.



Wojna na ziem'ach polskich: Kościół w Jędrzejowie (Królestwo Polskie) ze zburzonemi wieżami.

Z życia obozowego.

W czasie wojennym życie żołnierza, aczkolwiek nie zawsze wygodne i przyjemne, nie jest przecież pozbawione pewnych rozmaitości, o których potem wspomina się nieraz i z przyjemnością. Człowiek, któremu danem było przebyć szczęśliwie czas kampanii i powrócić zdrowo na łono rodziny, ma o czem opowiadać krewnym i znajomym, a przytem musi przyznać, że tego rodzaju sposób życia przyczynia się w bardzo wysokim stopniu do wyrobienia hartu ducha, przestawania na małem i zmagania się z przeciwnościami.

Jednem słowem, życie obozowe to doskonała szkoła życia dla młodego pokolenia.

W niniejszym numerze zamieszczamy szereg illustracyi, przedstawiających różne sceny z życia na wojence. Nadesłał je Redakcyi jeden z przyjaciół naszego pisma, którego obowiązki powołały na pole walki.

Że pomimo ciężkich warunków obecnego życia nie upadł na duchu, dowodem tego objaśnienia do fotografii, skreślone własną jego ręką w rowie strzeleckim, gdzie spokój i ciszę przerywały od czasu do czasu wybuchy rosyjskich szrapneli, padających bardzo gęsto, ale bez widocznego skutku. W każdym razie trzeba było mieć się na baczności i być przygotowanym na odwiedziny nieproszonego gościa, wobec czego nie mógł sobie pozwolić na wyczerpującą korespondencyę „z rowu strzeleckiego“, musiał natomiast ograniczyć się do luźnych tylko uwag, resztę pozostawiając fantazyi Redakcyi.

Pierwszy obrazek, przedstawiający tak zwany punkt obserwacyjny *(Beobachtungsstand)* na polu bitwy w Królestwie Polskiem, to zwykły bróg siana, jak je zazwyczaj na polach ustawiają. Jest to równocześnie także i kasarnia, nawet dość wygodna, chroniąca od wiatru, zimna i deszczu, aczkolwiek nie ogniotrwała.

Ale w czasie wojny tego rodzaju schronisko, to prawdziwy pałac — i szczęśliwy, komu się w niem udało wyciągnąć znużone członki.

W bezpośrednim związku z poprzednim jest i następujący widoczek, zatytułowany „Dziś na obiad kurczęta“.

Ciało jest mdłe, potrzebuje też posiłku, na wojnie zaś nie przebiera się, ale jest się bardzo zadowolonym, jeśli wogóle jest czem głód zaspokoić. Pieczone ziemniaki i kawałek komiśniaka smakują nieraz lepiej, niż w normalnych czasach befsztyk lub inny podobny specyał.

Ale i żołnierz ma nieraz chwile dla żołądka swego uroczyste!

Trzeba być na wojnie, przebyć kilka miesięcy w polu, łykać nieraz tylko ślinkę, by zrozumieć, jaki urok mają te słowa: „Dziś na obiad kurczęta!“.

Przygotowania do tej uroczystości widzimy też na obrazku załączonym. Kucharz kompanijny z całym pietyzmem obskubuje kurczę, przeznaczone na menaż dla panów wojaków.

Dalsze dwa obrazki, z których jeden przedstawia żołnierza przy toalecie porannej w rowie strzeleckim, drugi zaś strzyżenie włosów w oficynie golarskiej na placu boju, gdzie laweta armaty stanowi stołek, a kałuża lub potok lustro, są już mniej wesołe, wiemy bowiem z opowiadań żołnierzy, że pod tym względem dość się nacierpieli.

Trudna jednak rada. Jak wojna, to wojna! Zniosło się wiele, zniesie się i to... Niejednemu żołnierzowi przykro może było, gdy się musiał pożegnać z bujną swoją czupryną, niestety, trzeba się było pogodzić z rzeczywistością i w ten sposób chronić od różnych niezbyt sympatycznych pasorzytów, dających się żołnierzom we znaki.



Z życia obozowego: „Śpiący rycerze“ przy bateryach.

Scenę strzyżenia nazwał też nasz korespondent patetycznie „Pożegnanie z kulturą“.

Na ostatniej wreszcie rycinie, zatytułowanej „Śpiący rycerze“, widzimy żołnierzy poza linią bojową. Baterya stanęła w bezpiecznem miejscu, znużeni żołnierze, gdzie który mógł, drzemią sobie, kontenci, że bodaj tyle znalazło się czasu na wypoczynek...

Niech się jednak wojna skończy, powetują sobie w domu niewygody!...



Szkoła polska na obczyźnie: Dziatwa i kierownicy polskiej szkoły w Hodolanach.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

1

CZĘSC PIERWSZA.

— Pan hrabia de Kermor?

— W własnej osobie.

Zaledwie pospieszny pociąg, nadchodzący z Marsylii, wpadł z hukiem na stacyę, kiedy wyskakujący z niego podróżny obskoczony został recenzentami pism miejscowych.

— Panie hrabio! — przedstawiciel „Figara" pragnął najpierwszy powitać bohatera z Onbanghi.

— „Temps" w mojej osobie wita dzielnego podróżnika, powracającego do Paryża.

— Panie hrabio...

— Wybaczcie panowie, ale służyć wam będę mógł jutro dopiero — odpowiedział, uśmiechając się młody człowiek — jutro, u ojca mojego markiza de Kremor.

Widokowi temu przypatrywał się zdaleka, wmieszany w tłum podróżnych, człowiek o ostrych, bladych rysach, szczupły i wysoki. W ciemnych jego oczach gorzał płomień strasznej nienawiści i tłumionego gniewu.

— Dziennikarze oczekiwali go — szepnął przez zęby. — Stał się sławnym po jednej podróży, odbytej do Afryki. Szczęście mu sprzyja! Oh! żeby go mieć na zawsze w ręce i mojej mocy! Ale nie, pora jeszcze nie nadeszła. Kolej i na mnie przyjdzie. Wtedy, kiedy będę mógł głowę wysoko, jak on, nosić, kiedy nareszcie wyrwę się ze szponów tego nędznika de Bressien, do którego przykuty teraz jestem jak galernik.

Twarz jego nagle przybrała wyraz wesoły i uprzejmy. Hrabia de Kermor zbliżał się szybko z ręką wyciągniętą do uścisku.

— Andrzeju! Mój drogi Andrzeju!

— Panie hrabio...

— Co znowu, Delrue? Panie hrabio? Do mnie, do przyjaciela?

— Kochany Henryku! Przebacz mi. Jestem tak szczęśliwy i z taką niecierpliwością oczekuję cię!

— Ja również czekałem gorąco na tę chwilę! Po roku, przebytym na końcu świata, wśród niebezpieczeństw różnego rodzaju, przyjemnie jest uścisnąć dłoń serdecznego przyjaciela. A jednak — dodał Henryk de Kremor — kto wie, co czeka mnie tutaj. Wzywałeś mnie tak nagląco! Czy matka moja?

— Pani markiza cieszy się zupełnem zdrowiem, pomimo trosk, niepokojów i żalu...

— Spowodowanych moją nieobecnością?

— Tak, lecz są i inne przyczyny.

— Nie mów mi teraz, błagam cię... Chcę w całej pełni radości użyć tej chwili powrotu. Wszyscy więc zdrowi w pałacu? A panna Janina? Janina Le Brenn? — pytał młody hrabia wzruszonym głosem.

— Panna Janina? — powtórzył zdziwiony bladością towarzysza Delrue — Ah! panna Janina, ta mała Bretonka, robotnica, prawie przyjaciółka pani markizy? Tak, tak, zdrowa, jak rybka, codziennie przychodzi do pałacu i bawi w nim do późnego wieczoru. Pani markiza ofiarowała jej nawet pokoik przy sobie, ale ona odmówiła. Woli widocznie późną nocą powracać do swojego mieszkania w dzielnicy Temple, chociaż nie jest to zbyt bezpiecznem dla tak młodego dziewczęcia. Ale ona zdaje się nie lęka się niczego...

Hrabia Kermor nie słuchał już przyjaciela, zatopił się cały w radosnych myślach i wspomnieniach przeszłości.

— O! o! — pomyślał Delrue, śledząc wyraz twarzy towarzysza — czyżby przypadkiem... Muszę baczne oko skierować w tę stronę. Nasz arystokrata i bohater kocha się w tej dziewczynie z ludu!

— No, a teraz mów — rzekł nagle Henryk de Kremor, gdy obaj znaleźli się w powozie, oczekującym na nich.

— Otrzymałeś mój list?

— W trzy dni po powrocie z ekspedycyi natychmiast puściłem się w drogę. Ten miesiąc przeprawy pamiętnym mi będzie. Na szczęście wiedziałem, że jesteś przy moim ojcu, i ta myśl była prawdziwą dla mnie pociechą. Bo nie tylko sekretarzem naszym jesteś, Andrzeju, nieprawdaż, ale przyjacielem wiernym i oddanym przyjacielem, który zastępował mnie tam przy nich.

— Byłbym nędznym człowiekiem, drogi Henryku — odparł gorąco Delrue — gdybym nie umiał ocenić waszej życzliwości i nie czuł wdzięczności za doznane dobrodziejstwa. Czemże byłbym obecnie bez was? Czyniłem więc, co było w mojej mocy, aby zażegnać nieszczęście, ale niestety!...

— No, mów, mów — zawołał Henryk, panując nad ogarniającem go wzruszeniem — Co się stało?

— Stało się — odpowiedział odważnie Delrue — że markiz, ojciec twój, zrujnowany jest doszczętnie.

— Zrujnowany?

— Tak, mój przyjacielu! To już koniec wszystkiego!

— Matka! moja biedna matka! — szepnął Henryk de Kermor.

— Odważna jest i dzielna, jak Bretonka prawdziwa. Wybacz mi, Henryku, ale ojciec twój ponosi cały ciężar winy. Czy przypominasz sobie tę straszną scenę między tobą a markizem, która spowodowała wyjazd twój? Marzyłeś wówczas o stworzeniu majątku w tych odległych krajach. Z dzienników dowiedziałem się, że wkrótce okryłeś się sławą, ale zdaje mi się, że nie dotarłeś do zaklętego złota, ukrytego w lasach południowych — kończył Delrue z współczuciem, w którem przebijała się ironia i zadowolenie.

— Andrzeju! To straszne, co mówisz. Wierzyć mi trudno! Sytuacya może nie jest tak beznadziejna jeszcze?

Andrzej Delrue uśmiechnął się zimno.

— Zamknąłem wczoraj rachunki markiza de Kremor. Pozostaje wam sześćdziesiąt tysięcy franków i długi, o których jeszcze nie wiem.

— Ależ to niemożliwe! W chwili mojego wyjazdu mieliśmy jeszcze pełne dwa miliony! To przecież jest suma!

— Nie dla markiza — podjął Delrue — Zdaje mi się, że wiesz o tem tak dobrze, jak i ja. Ojciec twój, to król Paryża i wszystkich bulwarów, arystokrata, żyjący w wieku nieodpowiednim dla siebie, wyrzucający pełnemi garściami złoto przez okno swego pałacu i który żyje w przekonaniu, że spodliłby się, gdyby żył inaczej! Czyniłem, co mogłem. Chciałem choć cokolwiek uratować dla matki i ciebie. Czy wierzysz mi, Henryku?

— Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję — szepnął młody człowiek, broniąc się siłą przed przygnębieniem — Nie mówmy już o kapitałach, które były naszą własnością, ale sądzę, że przecież zostały nam nasze dobra w Bretanii.

— Sprzedane i w jakich warunkach!

— Lasy?

— Wycięte do pnia.

— Zamek de Kermor?

— Kupiony przez barona de Bressien.

Henryk de Kermor ukrył twarz w dłoniach. Delrue pochylił się szybko nad towarzyszem i szepnął ostrzegająco.

— Henryku, zapewne zastaniesz ojca, naradzającego się z baronem Bressien, który stał się teraz jego bankierem.

— Ah! — mruknął ze złością młody hrabia — Ten człowiek! To on popchnął mojego ojca do zguby, nieprawdaż?

— A markizę rozmawiającą z panną Sydonią.

— Z panną Sydonią?

— Tak, to córka de Bressien, jedyna spadkobierczyni jego. „Złota Sydonia", jak ją nazywają w Paryżu. Piękność znana i poszukiwana dla niezliczonych milionów, stanowiących jej posag.

— A cóż mnie w danej chwili obchodzić może panna de Bressien, jej piękność i posag? — szepnął Henryk.

— No, zapewne — odparł wymijająco Delrue — Tylko pamiętaj Henryku, że rok ten był rokiem ruiny dla markiza, a matka twoja jest biedna, rozumiesz mnie? Najdalej za miesiąc będziecie zmuszeni opuścić swój pałac przy ulicy Beotic, a markiza de Kermor mieszkać będzie gdzieś w oddalonej dzielnicy, w nędznym domu...

— Oh! nie, nie, do tego nie dopuszczę! Będę walczyć, pracować!

— Zdaje mi się, że dwa lata temu — mówił dalej Delrue, nie zwracając uwagi na wykrzyknik przyjaciela — zdaje mi się, że tańczyłeś na balu z panną Sydonią.

— Więc cóż stąd?

— No nic! Panna Sydonia pytała się kilkakrotnie o ciebie z wielkiem zainteresowaniem. Gdybym był Henrykiem de Kermor, za kilka dni byłbym milionerem.

— Nigdy! Nigdy! Andrzeju! Przyjaźń zaślepia cię. Zapominasz, że żaden z Kermorów nie zaprzedał jeszcze swojego nazwiska. Ale cicho już! Dojeżdżamy.

„Złota Sydonia".

Henryk de Kermor wstępował powoli po marmurowych schodach pałacu. Coraz silniejsze wzruszenie ogarniało całą jego istotę. Zdawało się, że zapomniał na chwilę o przykrej rozmowie, prowadzonej z przyjacielem, bo radość silna biła z jego oczów, a twarz jaśniała szczęściem.

Wszedł do przedpokoju, gdzie wygalonowani lokaje rzucili się witać go, przeszedł wielki salon recepcyjny, kilka mniejszych i skierował się do buduaru matki. Wiedział, że ją tu zastanie, było to jej ulubione schronienie i miejsce, gdzie przyjmowała najbliższych sobie.

W pokoju tym, około okrągłego, misternie rzeźbionego stołu, nad którym wisiała wielka lampa z różowym abażurem, siedziały trzy kobiety. Po lewej stronie jedna z nich czytała głośno dziennik, trzymany w ręce. Była to młoda dziewczyna, kobieta już prawie, o posągowych, jak z marmuru wykutych kształtach i rysach twarzy, ożywionych parą przepysznych, zuchwałych oczu, o głowie dumnie osadzonej i otoczonej zwojem rudawoblond włosów.

— Sydonia! — szepnął Henryk de Kermor, stając cicho na progu pokoju. — Ona tutaj! przy matce mojej i mojej małej Jance!

Wzrok jego, pociągnięty nieprzepartą siłą, spoczął teraz na młodej dziewczynie, siedzącej naprzeciw tamtej.

— Janka moja!

Było to dziecko prawie, delikatne, pełne uroku i nieświadomego wdzięku. Lekko zaróżowioną twarzyczkę okalały pukle jasnych i lśniących jak jedwab włosów. Ubrana była w zgrabny i skromny ubiór robotnicy paryskiej, a drobne, dziecinne jej ręce zajęte były jakąś robótką skomplikowaną.

Naprzeciw drzwi, obok wysokiego, marmurowego kominka, dojrzał Henryk matkę. Jakże zestarzała się przez ten rok rozłąki. Zmartwienia i łzy wyryły na jej bladej twarzy niezatarte ślady, a w oczach błyszczał jakiś wyraz cichej rezygnacyi i tęsknoty.

— — — — — — — — — — — —

— Janko — mówiła w tej chwili markiza de Kermor — ósma godzina już dochodzi. Musisz już odejść, moje dziecko, ulice Paryża nie są dla ciebie bezpieczne o tej porze.

— Oh! nie lękam się niczego — odparła młoda dziewczyna — Chcę ukończyć jeszcze tę robotę dla tej biednej kobiety, u której byłyśmy wczoraj.

— Dokończ więc, moja droga, a panna Sydonia może zechce raz jeszcze przeczytać ten artykuł, w którym mowa o moim Henryku. Drżę z tęsknoty i oczekiwania, bo kiedyż ujrzę go nareszcie. Za dwa dni powinien być w Marsylii. Módlmy się Janko, aby miał szczęśliwą przeprawę przez morze.

Słowa nagle zamarły na jej ustach; powstała nagle, wyciągając ramiona. Przez wpół otwarte drzwi dojrzała syna, spieszącego do niej.

— Henryku! To ty?

Chwilę trwało milczenie, przerywane tylko radosnem łkaniem markizy, nie mogącej się wyrwać z ramion syna.

Twarz Janki na widok przybyłego okryła się śmiertelną bladością.

Podniosła nieśmiało jasne oczy na młodego człowieka, poczem cicho, ostrożnie powstała, usuwając się w róg pokoju, osłonięty wysokim parawanem. Nie chciała obecnością swoją mącić tej chwili. Była przecież obcą w tym domu, a wzruszenie, jakie ją ogarnęło przy wejściu młodego człowieka, ostrzegło ją przed tem, z czego dotąd w nieświadomości swojej nie zdawała sobie jeszcze sprawy.

Teraz dopiero zrozumiała nieokreśloną tęsknotę za nieobecnym, niepokój, nurtujący ją na równi z markizą, kiedy czasem tygodnie mijały bez wieści i znaku, niecierpliwe oczekiwanie dzienników, opisujących odważne podróże młodego hrabiego.

Sydonia de Bressien, córka sławnego finansisty, ujrzawszy Henryka de Kermor, usunęła się również z pokoju, pozostawiając matkę i syna zajętych sobą, i przeszła uśmiechając się zwycięzko do obok położonego saloniku.

W pokoju tym, pozornie zajęty czytaniem dziennika, oczekiwał Andrzej Delrue.

— No, więc cóż? — szepnęła Sydonia, podchodząc do niego — Mówiłeś pan z nim?

— Tak — odparł Delrue, nie podnosząc oczu — wie o wszystkiem.

— Jakże to przyjął?

— Odważnie.

— Poruszyłeś pan sprawę wiadomą ci?

— Tak jest, lecz widzę, że będzie tu przeszkoda dość ważna do usunięcia.

— Duma? Honor nazwiska? — wymówiła pogardliwie Sydonia.

— Nie, coś ważniejszego, bo kobieta.

— Kobieta? Pan to seryo mówisz? Kobieta! Nazwisko jej! Chcę natychmiast wiedzieć jej nazwisko.

— Janina Le Brenn.

Córka bankiera roześmiała się zuchwale.

— Co znowu! Ta mała robotnica!

— Kocha ją!

— Cóż stąd! Kaprys przelotny.

— Nie, nie kaprys! On się może z nią ożenić.

— Oh! aż tak — szepnęła Sydonia, blednąc ze złości — A więc trzeba będzie i z tem się liczyć!

Twarz jej stała się nagle surową i nieprzeniknioną, tylko nawał niespokojnych myśli zdradzał się w ciemnych oczach, rozgorzałych gorączkowym blaskiem. Powolnym krokiem podeszła ku oknu i zapatrzyła się przed siebie. Gdy po dłuższej chwili odwróciła się i powróciła na środek pokoku, Andrzej Delrue zadrżał przed tą bladą twarzą, na której skamieniała myśl jedna, jedno nieubłagane postanowienie.

Przez te kilka minut zamyślenia Sydonia Bressien stoczyła w duszy swojej straszną walkę, której głównym motywem była powzięta nagle myśl zbrodnicza.

— Panie Delrue — wyrzekła przekonywająco. — Pan jesteś zawsze wiernym ajentem mojego ojca? I nie zapomniałeś, mam nadzieję, że w jego rękach znajduje się nędzny skrawek papieru, świadczący o fałszerstwie pana?

Delrue zadrżał gwałtownie.

— Uspokój się pan! — szepnęła pogardliwie Sydonia. — Byłoby lekkomyślnością posyłać do więzienia tak sympatycznego i wielce obiecującego młodzieńca.

— Panno Sydonio! Przez litość — błagał nieprzytomny prawie Delrue — nie mówmy tutaj o tem. Ściany mają uszy!

— Delrue! — przerwała sucho bankierówna — Jesteś ubogim, a pożera cię pragnienie stania się bogatym i potężnym. Jeżeli tylko zechcesz, zwrócę ci ten nędzny skrawek papieru, na którym ci tak zależy, wraz z czekiem, opiewającym na pięćkroć sto tysięcy franków.

Delrue porwał się z błyskiem w oczach. Cyfra ta zelektryzowała go. Wzruszenie łamało mu głos, ale Sydonia wyczuła z radością, że ma w ręce człowieka, gotowego na wszystko.

Po chwili ze zbladłych ust jego wyrwał się szept stłumiony:

— Wszystko! Wszystko, co pani zechcesz!

Wówczas ona przysunęła się do niego bliżej jeszcze i wyrzekła cichym głosem:

— Doprowadzenie małżeństwa mojego z Henrykiem de Kermor do mnie należy, ale czy to się stanie, lub nie, chcę, słyszysz mnie pan, być uwolnioną od tej „przeszkody". W dniu, w którym przyjdziesz i powiesz, że ona już nie istnieje i dasz mi tego dowody, otrzymasz ten świstek i czek. Idź i działaj, Delrue!

Luiza.

Andrzej Delrue nie przebywał zawsze w pałacu markiza de Kermor. W dzielnicy Montmartre, najweselszej, najniebezpieczniejszej i najbardziej nędznej w Paryżu posiadał on pokoik umeblowany. Po wyjściu z pałacu, oszołomiony rozmową z córką bankiera de Bressien, błąkał się czas jakiś po ulicach, chcąc myśli i nerwy doprowadzić do normalnego stanu. Miał ciężkie zadanie do wykonania. Co zrobi? Jak weźmie się do urzeczywistnienia morderczego zamiaru Sydonii? Bo do dni ośmiu sprawa ta załatwioną być musi. Za ośm dni posiadać musi pół miliona franków i zniszczyć na zawsze od jednego zamachu tę przeklętą groźbę więzienia, ciążącą tak długo nad nim.

— Pół miliona franków! — powtarzał cicho, nie mogąc się nacieszyć tymi dźwiękami. — Biada temu, kto stanie w poprzek mojemu szczęściu!

Dochodził już około dziesiątej do drzwi swego mieszkania, gdy nagle nieprzyjemne przypomnienie zmąciło jego radość.

— A ona? Ta druga, o której zapomniałem? — mruknął ze złością. — Będzie krępować moje ruchy, a przecież ja wolnym i swobodnym być muszę. Kocha mnie i dotąd byłem dosyć do niej przywiązany.

Stał chwilę przed drzwiami, nie mając odwagi zadzwonić. Nagle wzruszył ramionami i cyniczny uśmiech wybiegł na jego usta.

— To trudno! Nie czas bawić się w sentymenta! One sposobu do życia nie dają!

Zadzwonił. Młoda kobieta z okrzykiem radości przybiegła otworzyć.

— To ty! Nareszcie ty! Tak się już niepokoiłam o ciebie! Czekałam dotąd z obiadem! Pewnie jesteś głodny i zmęczony!... Obsypywała go pieszczotami, nie mogąc się nasycić jego widokiem.

Znudzonym ruchem Delrue wysunął się z jej objęć i zaczął niecierpliwie chodzić po schludnym, z pewną kokieteryą urządzonym pokoiku. Napróżno szukał w myśli sposobu, mogącego go uwolnić od ciążących mu więzów, a uniknąć chciał przewidywanych łez, żalów i wyrzutów. Skoro zerwanie z nią było konieczne, należało uczynić to prędko i nieodwołalnie.

Młoda kobieta w tej chwili upinała przed lustrem rozrzucone cokolwiek włosy, czarne, o szafirowych błyskach, sięgające jej prawie do kolan.

Miała może zaledwie lat 20, twarz białą o delikatnych rysach i ciemne duże oczy, ożywione ciepłym blaskiem miłości.

— Wiesz, Andrzeju — mówiła wesoło — cały wieczór oczekiwania na ciebie skracałam sobie śpiewając tę piosenkę, którą słyszeliśmy kiedyś wychodząc z koncertu, pamiętasz, śpiewały ją te nieszczęśliwe kobiety na ulicy.

— Nie tak nieszczęśliwe, jak ci się zdaje — przerwał Delrue.

— Co też ty mówisz!

— Tak jest. I te kobiety nie zawsze żyją w nędzy. Widzisz — mówił dalej z ożywieniem, wywołanem nagłą myślą. Jeżeli z nich która sprytna i ładna, tak, jak ty, na przykład, to wkrótce dojść może do majątku, mieć własną willę, powóz. Wierz mi, Luizo, powinnaś się nad tem zastanowić. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, ale cóż ci ja dać mogę! Gdybyś owego wieczoru, gdy wybiegłaś z domu, spotkała była na swojej drodze innego człowieka, a nie mnie...

— Andrzeju! Andrzeju!

Głos młodej kobiety był tak dziwnym, że Delrue zamilkł oniemielony.

— No, no. uspokój się, głuptasie — rzekł łagodząco. — Nie bierz tak wszystkiego tragicznie. To przypuszczenie, hypoteza, jak mawiał twój profesor literatury na pensyi!... Przecież wiesz, że kocham cię zawsze...

Luiza zbladła, słysząc te słowa.

Pensya, profesor literatury, ta przeszłość taka niedaleka, a tak niepowrotna, ojciec, babka staruszka. Dwie duże łzy spłynęły z jej ciemnych oczów.

— Andrzeju, dlaczego poruszasz te wspomnienia — szepnęła z wymówką. — Zdają mi się tak odległe, tak nieprawdopodobne. Pamiętam dzień, w którym cię poznałam! Spojrzałeś tylko na mnie, a mnie to wystarczyło, aby zapomnieć o wszystkiem, co nie było tobą. Pensya, lekcye, egzamina, dom... A potem, kiedy zacząłeś mówić do mnie, czułam się tak szczęśliwą. Andrzeju, kochaj mnie! Kochaj mnie coraz bardziej, abym mogła zapomnieć, że tam w domu biedna moja babka i ojciec umierają ze wstydu i rozpaczy za mną! A jednak, gdybyś ty chciał — dodała pieszczotliwie, patrząc mu w oczy.

— Co, gdybym chciał?

— Przypomnij sobie twoje słowa, wymówione tego fatalnego wieczoru, kiedy nieprzytomna prawie poszłam za tobą: „Pójdę nazajutrz do twojego ojca i choć jesteś córką komendanta, czuję się godnym proszenia o twoją rękę!" Trzy miesiące już upłynęły, Andrzeju! Oh! gdybyś ty chciał! Ojciec mój dobry, przebaczy! A tak, teraz, gdy pomyślę o ich łzach i hańbie.

— Tak — rzekł nagle Delrue — masz słuszność, Luizo. Jestem złym człowiekiem, skoro tobie i im tak pozwalam cierpieć. Musimy o nich pomyśleć. Jesteśmy zmuszeni się rozstać, moja mała!

— Co? co?

— Luizo! Posłuchaj mnie! Ja nie mogę się z tobą ożenić! Cierpię bardzo, czyniąc ci to wyznanie, ale jest ono konieczne dla twojego szczęścia i mojego spokoju.

— Nie! nie! Ty żartujesz, powiedz, że żartujesz. To niemożliwe, Andrzeju! Przestań mnie dręczyć!

— Nie żartuję, bo nie mam wcale do tego ochoty — odparł brutalnie Delrue. — Nie mogę nic dla ciebie uczynić, dlatego wracaj czemprędzej do rodziny. Uczyń to dla twojego biednego ojca. No, nie płacz! Tak musi być! Więcej nie mogę ci powiedzieć!

— Andrzeju! Opamiętaj się!

— Słuchaj, chcesz wiedzieć prawdę? Przegrałem, i to nie swoje pieniądze, nie pozostaje mi nic, jak w łeb sobie palnąć.

Młoda dziewczyna drgnęła nagle, nachyliła się nad kochankiem i prosto w oczy mu spojrzała. To, co czytała w tym fałszywym, wymykającym się wzroku, musiało być wystarczającem, bo kiedy wyprostowała się, twarz jej utraciła dawny wyraz rozpaczy i bólu, spokojna była i zimna.

— Przyznaj się, że jesteś podłym, prawda? jesteś podłym! — zapytała twardym, zmienionym głosem.

Nie skarżyła się już, nie błagała, nie pozwalała jej na to duma, którą nagle odzyskała, wobec jawnej podłości i kłamstwa tego człowieka.

— Tak — powtórzyła silnie — Jesteś podły. Te wykręty, to kłamstwo.

— No, więc tak, przyznaję, żeby ci zrobić przyjemność. Nie myśl tylko, że jestem bez serca i że pozostawię taką ładną dziewczynę, jak ty, bez środków utrzymania. Gdyby cię ojciec nie przyjął do domu, będziesz mogła sobie z tem poradzić.

Nie mógł już dokończyć. Silna ręka pochwyciła dłoń jego, wyciągającą się z banknotem.

— Precz! precz! nędzniku! Ani słowa więcej, bo stanie się nieszczęście.

Nieprzytomna z rozpaczy i wstydu, Luiza rzuciła się ku drzwiom, rozwierając je szeroko.

— Precz! precz!

Głos jej ochrypły przechodził w konwulsyjne łkanie.

Delrue zrozumiał, że była doprowadzona do ostateczności, że tu już chodziło o jego życie. Zdawało mu się, że coś błysnęło w małej, zaciśniętej dłoni. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach i przeskakując po kilka schodów, zbiegł jak szalony na dół.

„Janka".

Po odejściu Andrzeja Delruhe, Sydonia pozostała w małym saloniku, nadsłuchując pilnie, chcąc podsłyszeć rozmowę markizy ze synem. Janka zaś, ukryta za parawanem, zamierała z lęku i wstydu, że odkrytą zostanie i posądzoną o niedyskrecyę. Nie mogła teraz bez zwrócenia uwagi i zdziwienia markizy wyjść ze swojej kryjówki. Należało zaczekać aż wyjdą.

W tym samym czasie dwóch mężczyzn zstępowało ze schodów pierwszego piętra i skierowało się do saloniku, w którym znajdowała się Sydonia. Ujrzawszy ich, swobodnie podeszła na ich spotkanie.

— Ah! panie markizie, spotkała pana wielka radość!

— Tak, radość, ma pani słuszność — odparł grzecznie markiz de Kermor, składając pocałunek na podanej dłoni — mam nadzieję jednak, że nadziei tej wkrótce towarzyszyć będzie druga.

Sydonia zbladła lekko i pytające spojrzenie rzuciła na towarzysza starego markiza, barona le Bressien, który odpowiedział na nie nieznacznem skinięciem głowy.

— Czuję się tak szczęśliwa i wdzięczną — podjęła Sydonia wzruszonym głosem — za łaskawe względy pani markizy, za jej dobroć i serce, tak zastępujące mi serce matki.

Markiz skłonił się z galanteryą i podszedł do drzwi buduaru żony.

— Sprytna i interesująca — pomyślał — Będzie umiała utrzymać się w nowej roli.

Otworzył szeroko drzwi i zawołał głośno:

— Cóż to, Henryku, zmuszasz mnie, abym sam po ciebie przychodził? No, no, mój synu, zapomnijmy o dawnych nieporozumieniach i uściskajmy się.

Henryk w jednej chwili znalazł się w ramionach ojca. W oczach markizy zabłysły łzy radości i szczęścia. To niespodziewane pogodzenie się ojca z synem wynagrodziło ją sowicie za ten rok, przeżyty w tęsknocie i zmartwieniu. Za nimi zaś w małym saloniku baron le Bressien z córką swoją zamieniał szybko kilka słów.

— A więc markiz jest z nami? — pytała nagląco Sydonia.

— Przystąpi zaraz do ataku, kosztujesz mnie drogo, moja córeczko.

— Ojcze mój! To małżeństwo musi dojść do skutku. Ja tego chcę!

— Tak samo, jak i ja. Sytuacya moja zachwiana, arystokracya nie ufa mi, wycofuje kapitały. Jeżeli będę mógł schronić mój bank pod flagą Kermorów, jestem ocalony.

— Ojcze! ojcze! umrę, jeżeli ten zamiar nam się nie uda!

— Cicho! nadchodzą, pamiętaj, że chodzi o grę poważną.

— Droga żono — rzekł markiz, wchodząc do markizy — przebacz mi, ale zmuszony jestem zabrać ci syna na małą konferencyę. Chodź, Henryku, do mojego gabinetu.

Ujął syna pod ramię i pociągnął za sobą.

— Siadaj, Henryku — rzekł markiz, gdy znaleźli się w jego gabinecie — Chcę z tobą pomówić o ważnych sprawach. Delrue wie o wszystkiem, musiał ci mówić.

— Tak, mówił mi, jesteśmy doszczętnie zrujnowani — odpowiedział spokojnie młody człowiek.

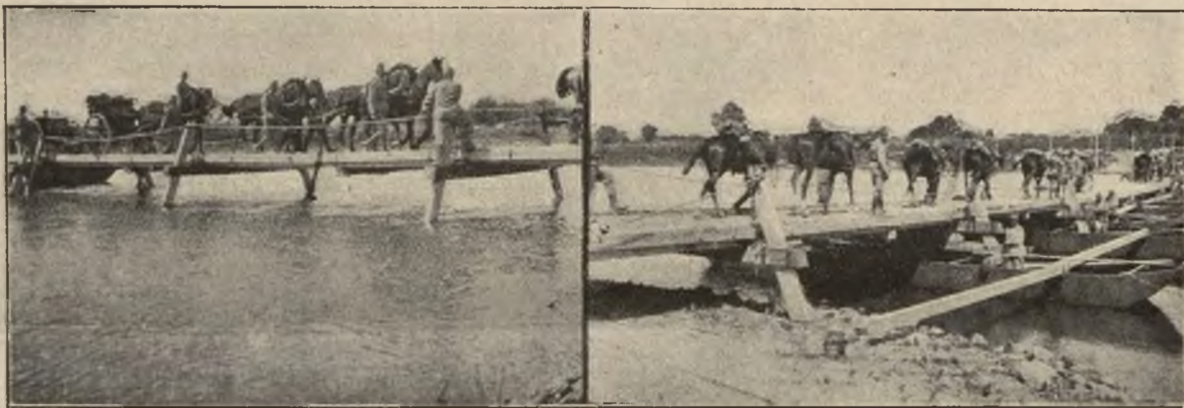
— Muszę cię ostrzedz, że jest to jeszcze tajemnicą dla markizy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szkoła polska na obczyźnie.

(Do illustracyi na stronie 10).

Około 200 rodzin uchodźców galicyjskich osiadło w miasteczku Hodolanach obok Ołomuńca. Ponieważ znaczna liczba dzieci w wieku szkolnym była bez zajęcia, poczęły osoby stanu nauczycielskiego, które tu w liczbie trzech osiadły, czynić zabiegi o utworzenie polskiej szkółki. Po zwalczeniu trudności, przy poparciu sprawy przez miejscowego dyrektora czeskiej szkoły żeńskiej, p. Fr. Mochapla i inspektora okręgowego p. Martinika, otwarto dnia 16 stycznia b. r. czteroklasową szkołę polską, na której pomieszczenie zaofiarowała dyrekcya czeskiej szkoły męskiej dwie sale. Później uzyskano jeszcze trzecią salę w szkole żeńskiej.



Z ostatnich walk w Galicyi: Przeprawa przez San.

Początkowo zapisało się do szkoły 37 dzieci, później jednak liczba ta wzrosła do 70. Obowiązki w założonej z własnej inicyatywy szkole polskiej w Hodolanach pełnią: Jan Milian, nauczyciel z Przedburza (powiat Jaworów), Albina Peyersfeldówna, nauczycielka z Porzecza ianowskiego i Marya Huczekówna, nauczycielka z Suchowoli. Nauki religii udziela ks. Wojciech Sapecki, proboszcz z Racławic.

W niedzielę i święta uczęszcza dziatwa szkolna na polskie nabożeństwa wspólnie pod dozorem grona nauczycielskiego. W czasie mszy św. śpiewa chór złożony z dziatwy szkolnej polskie pieśni. Szkołę naszą na obczyźnie odwiedził prezydent Rady szkolnej krajowej p. Ignacy Dembowski, a wizytował ją także inspektor szkolny okręgowy p. Teodor Skalecki.

Smierć na polu chwały.

Wojna obecna wiele rodzin okryła żałobą, wielu z tych, których obowiązek powołał pod sztandary, nie wróciło już w progi domowe, pozostawiając po sobie tylko łzy i żal serdeczny.

Jednym z nich był ś. p. Stanisław Broszkiewicz, urzędnik krakowskiej Kasy oszczędności, młodszy brat otaczanego ogólnym szacunkiem kierownika tutejszej c. k. Dyrekcyi policyi, dra Józefa Broszkiewicza, porucznik rezerwowy 13 pułku piechoty.

S. p. Broszkiewicz walczył od początku kampanii w szeregach „krakowskich dzieci“, odznaczył się też niejednokrotnie, za co ozdobiony został medalem „signum laudis“ na wstędze wojskowego krzyża waleczności. Niestety, nieubłagana śmierć stanęła na drodze i zabrała to młode życie, które takie nadzieje rokowało. Padł, jak na mężnego żołnierza przystało, w walce z Moskalami, opłakuje Go rodzina, koledzy biurowi, przyjaciele i żołnierze, którzy stracili w nim wyrozumiałego i troskliwego o ich los przełożonego i prawdziwego ojca i opiekuna.

Niech Mu będzie lekką ta ziemia, w obronie której złożył swe młode życie.



Z ostatnich walk w Galicyi: Na pozycyi.



Toaleta w rowie strzeleckim. **Z życia obozowego:** „Golarnia“ przy armacie na pozycyi.

Zgon śpiewaczki.

Nieubłagana śmierć, która ma teraz tak obfite żniwo na polach bitew, zagląda i w zacisza domowe, zabierając z pośród żywych jednostki, do których życie dopiero zaczęło się uśmiechać... Tak przedwcześnie, bo zaledwie w 23 roku życia zgasła w Krakowie ś. p. Anna (Hanka) Siemińska, śpiewaczka operowa, znana z występów publiczności krakowskiej... Obdarzona ładnym głosem miała przed sobą piękną i pociągającą karyerę artystyczną, lecz długotrwała choroba i śmierć złamała w zaraniu to młode życie.



Zgon śpiewaczki: S. p. Anna (Hanka) Siemińska.



Smierć na polu chwały: S. p Stanisław Broszkiewicz, urzędnik krakowskiej miejskiej Kasy Oszczędności, porucznik 13 p. p.

Z listów do Redakcyi.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 25. „Nowości Illustrowanych“, w artykule „Z życia Legionistów“ wkradła się pomyłka, którą w celu wyjaśnienia prawdy czuję się w obowiązku sprostować.

Nie stworzyłam bynajmniej w N. Radomsku komitetu pań, który założył herbaciarnię dla Legionistów, lecz weszłam tylko w jego skład, jako współpracowniczka i kierowniczka herbaciarni i do dnia dzisiejszego w tym charakterze pozostaję.

Prosząc o pomieszczenie tych kilku słów w najbliższym numerze „Nowości Illustrowanych“, łączę i t. d.

Radomsk, 20 czerwca.

A. Bolesławska.

Kronika tygodniowa.

Pokazało się jednak, że, jak jedna jaskółka nie robi wiosny, tak też i naprawiony parasol nie sprowadzi deszczu! Zanosiło się wprawdzie na niepogodę już kilka razy, burz domowych było także parę w tym czasie, deszcz przecież, jak nie padał, tak nie pada.

Zastanawiano się nad tem, co mogłoby być przyczyną i nikt jakoś na właściwy powód nie mógł trafić. Mnie się zdaje, że prawdopodobnie niebieskiego referenta od pogody musiano wziąć do wojska i zastąpił go ktoś niefachowy, który nie wie, jaki kurek odkręcić. Być jednak może, że i w niebie dowiedziano się o zakazie krakowskiego magistratu, by nie marnować wody i dlatego polecono na kilka miesięcy zamknąć upusty.

Tak jest, czy owak, konstatuję fakt, że jest gorąco i, że byłoby najprzyjemniej, gdyby tak człowiek mógł przez cały dzień udawać bodaj w wannie wieloryba, lub chodzić po mieście w takim kostyumie, jaki moda przepisuje dla mieszkańców środkowej Afryki (szwimhozy, mankiety i krawatka).

A tu, jak na złość, roboty coraz więcej! Od chwili, gdy ogłosiłem w kronice sprawozdanie z walnego zgromadzenia Towarzystwa wzajemnej pomocy starych panien, niema dnia, bym nie otrzymał kilku listów z zapytaniem, kiedy będzie można nabywać owe dziesięciokoronowe bilety i czy *Nowości illustrowane* nie będą przypadkowo umieszczać portretów kandydatów do stanu małżeńskiego, przeznaczonych do losowania.

Jedna z niewiast dowiadywała się nawet poufnie, czy przypadkiem kronikarz nie jest wolnym, gdyż w danym razie byłaby skłonną do nabycia nawet i stu biletów, aby tem pewniej wejść w jego posiadanie, a potem dać mu sposobność przekonania się, jak to wyglądają prawdziwe czułości małżeńskie.

Odpowiedź na te listy chowam sobie na chłodniejsze czasy, co do własnej osoby powiem zaś tyle, iż choćbym nawet i owdowiał, nie będę już po raz drugi takim głupim, bym kładł zdrową głowę pod ewangelię. Nawet kodeks karny surowiej się obchodzi z recydywistami, a stare nasze przysłowie mówi, że ten, kto się drugi raz żeni, nie był godnym tego szczęścia, jakie go spotkało, gdy mu pierwsza żona umarła.

W takie kanikularne czasy odchodzi zresztą człowieka także i ochota do małżeństwa.

Ze zaś naprawdę panuje kanikuła, mamy dowód na coraz częstszem pojawianiu się różnych kaczek dziennikarskich choć o wężu morskim, tego roku jakoś nic nie słychać. Prawdopodobnie przeląkł się łodzi podwodnych i min i siedzi sobie gdzieś w głębinach, nie wystawiając na wierzch ani nosa, ani też żadnej innej części ciała.

Gdyby jednak nie było kaczek dziennikarskich, nie byłoby też nijakiej frajdy, a jest ona człowiekowi potrzebną do zdrowia i nawet polecaną przez powagi lekarskie. Cóżby bowiem było warte społeczeństwo, składające się z samych hipochondryków, nie śmiejących się nigdy, a myślących tylko o tem, co im dolega, lub co ich boli?

Bo proszę mi powiedzieć, czy nie radował się przeciętny Krakowianin, czytając sobie pewnego wieczora w jednej gazetce artykulik p. t. „Armia czarnogórska", z którego dowiedział się, że włoski król, Wiktor Emanuel, będący obecnie bohaterem chwili, urodził się w r. 1896, wstąpił zaś na tron w r. 1900.

W tem nie byłoby jeszcze nic dziwnego, gdyż za czteroletniego władcę mógłby zastępczo sprawować rządy jakiś minister, n. p. markiz Salamandra lub hrabia Mortadella, dziwniejszą mi się przecież wydaje druga wiadomość, mianowicie, iż już w r. 1904 doczekał się młody król męskiego potomka, zastępstwo bowiem w tym wypadku uważam za wykluczone.

Nie chce mi się też wierzyć, by ktoś, kto światło dzienne ujrzał dopiero w r. 1896, mógł się ożenić już w r. 1869 i to z kobietą, która na świat przyszła w r. 1873.

Ale tak „stało" w gazecie, więc muszę dać wiarę, choćbym nie chciał, zresztą wiem, że na świecie dzieją się nieraz różne dziwne rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło, a ja do tytułu filozofa nie roszczę sobie pretensyi, gdyż w klasie siódmej i ósmej miałem z propedeutyki filozofii tylko dostateczne i to jeszcze za protekcyą.

W tym samym artykule, nieco tylko niżej, wyczytałem, co następuje:

„Zywienie wojska (czarnogórskiego) podczas wypraw odbywa się w sposób najpierwotniejszy: w najbliższej wsi kobiety pieką chleb i dowożą na koniach i osłach do linii bojowej. Jeśli, co rzadko bywa, przypędzą stado baranów, żołnierze załatwiają się z n i e m i bez kuchni polowych".

Jeśli to prawda, co owa gazeta pisze, to Czarnogórcy są łajdaki, cóż bowiem zawiniły biedne kobiety, by im mieli krzywdę czynić! Czy to ma być nagroda za to, iż dostarczyły im pożywienia?... Ale i to potrafię sobie jakoś wytłumaczyć, gdyż, jak wiadomo z geografii, jest to naród nie mający z kulturą europejską nic wspólnego. Dość powiedzieć, że w całym kraju nie spotkasz ani jednej fryzyerskiej oficyny, jedynie dwór królewski ma swego nadwornego balwierza, który, goląc dostojne oblicza, pluje najpierw na miseczkę, a potem dopiero rozrabia mydło. Ów dworski „Figaro" piastuje pono bardzo wysoką rangę, a jako oznakę swej godności nosi na kapeluszu pendzel do golenia, czem znów przypomina naszych „sonntagsjägerów", którzy także lubią tą ozdobę.

Prócz owych kaczek dziennikarskich, na które polowanie dozwolonem jest przez rok cały, gdyż nie wyznaczono na nie w kalendarzu myśliwskim czasu ochronnego, drugim dowodem kanikuły, więc gorąca, jest okoliczność, że nawet pomnik Mickiewicza, stojący na Rynku, poci się, choć jest zrobiony ze spiżu. Kto nie wierzy, niech idzie i stanie sobie u wylotu ulicy Siennej, a jeśli ma oczy ku patrzeniu, ujrzy białe smugi, spływające po czole wieszcza. Powiadają wprawdzie, że inny jest tego powód, a przejezdni oburzają się nawet na magistrat, że o pomnik nie dba, ja tam jednak muszę stanąć w obronie naszej władzy autonomicznej, która chyba nie poniosłaby wielkiej szkody materyalnej, a tem mniej moralnej, gdyby tak bodaj raz w tygodniu wysłała strażaka z drabinką i mokrą ścierką i kazała powycierać te białe smugi, które ja przypisuję poceniu się, inni zaś niegrzecznemu zachowywaniu się gołębi na miejscu publicznem.

Na karb gorąca muszę także złożyć gwałtowny wybuch energii jednej z konduktorek tramwajowych, z jakim się spotkałem w ubiegłym tygodniu. Dama owa na grzeczną mą uwagę wsiadła na mnie z taką furyą, iż o mały figiel pod ławkę ze strachu nie upadłem, a byłbym się przy tej sposobności z pewnością potłukł, wobec czego byłbym też stanowczo żądał wynagrodzenia za strach i ból. Uważam, że jejmość owa minęła się z powołaniem. Odpowiedniejsze dla niej miejsce byłoby na przykład na placu Szczepańskim, gdzie potrafiłaby godnie podtrzymać tradycye krakowskich przekupek, coraz bardziej wypieranych ze śródmieścia i zwolna przechodzących do historyi.

Ogółu konduktorek, które zachowują się wobec jadącej publiczności grzecznie i taktownie, niech to nie obraża, konstatuję fakt, że, choć dziennie co najmniej cztery razy w różnych kierunkach jeżdżę tramwajem, spotkało mnie to po raz pierwszy. Zażalenia do dyrekcyi nie wniosłem, także i nie wniosę, wiem bowiem, że każda niewiasta ma muchy w nosie, zwłaszcza zaś taka, która zmuszoną jest żyć zdala od swego małżonka.

Jako dobry chrześcijanin przebaczam jej z całego serca, niechaj jednak na przyszłość się poprawi, pamiętając, że nie nos jest stworzony dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa, co się w ten sposób tłumaczyć powinno, że należy być zawsze grzecznym dla publiczności, energię zaś wyładowywać trzeba w domu, bo to i zdrowiej i wygodniej.

A teraz, nie bacząc na gorąco, przejdźmy do polityki!

Powiada stare przysłowie, że, kiedy konia kuto, żaba także nogę wystawiła. Przypomniało mi się to mądre zdanie z okazyi wiadomości dziennikarskich o wypowiedzeniu nam wojny przez Portugalię. Dotąd jakoś ze względu na przyzwoitość o „portugaliach" żadnych publicznie się nie mówiło, niech więc Szanowne Czytelniczki nie nazwą mnie przypadkiem farmazonem, który poważa się omawiać tamtejsze stosunki.

Zbyt głęboko nie będę się zapuszczał, nie jestem o nich bowiem dokładniej poinformowany, mogę przecież zapewnić tamtejszych polityków, że na tem interesu nie zrobią żadnego, a mogą się tylko tego doczekać, iż przy najbliższej sposobności przetrzepiemy im należycie portugalie. Wątpię także, czy królowi Manuelowi, który stracił Portugalię, uda się w ten sposób zasiąść na tronie. Co najwyżej może trząść nią, ale tylko ze strachu.

Zresztą w ubiegłym tygodniu nie zaszło nic nowego na żadnym z wojennych frontów, a mamy ich za dużo, bo z przodu, z tyłu, na lewo, na prawo, z dołu i z góry. Moskalom wiedzie się coraz lepiej, nic też dziwnego, że cofają się krok za krokiem i, jeśli tak dalej pójdzie, gotowi się oprzeć aż w bezpiecznym odcinku, to jest za Uralem. Sądzę, że nikt w Europie nie będzie za nimi płakał, chyba jedni Anglicy i Francuzi, których rusofilska polityka dosyć już gotówki kosztowała i jeszcze będzie kosztować.

Król włoski objeżdża dalej front swej walecznej armii, która, jak dotąd, okazała wielką dzielność, ale w znęcaniu się nad bezbronnymi mieszkańcami okolic nadgranicznych oraz sprawność w uciekaniu. Pan Rappaport-Annunzio jeszcze do szeregów nie wstąpił, widocznie czeka na ogłoszenie jakiejś większej nagrody za zdobycie austryackiego sztandaru. Niejaki pan Clerici ofiarował na razie pięćdziesiąt tysięcy lirów, a to trochę za mało. Czy Caruso śpiewa już na polu chwały, o tem nie czytałem nigdzie.

Jeden jest tylko zakątek w Europie, gdzie o wojnie nic nie chcą słyszeć, a tym jest księstwo Monaco, specyalnie zaś Monte Carlo, które stało się bezpiecznym odcinkiem dla niezajmujących się polityką, a mających pieniądze. Bawi tu książę Jerzy serbski i podaje rękę szczęściu, chciałby bowiem zebrać jak najwięcej grosza, Fortuna jakoś mu jednak nie dopisuje, a papa monety przysyłać nie chce, bo jej nie ma.

Sprawozdanie zarządu kasyna za rok ubiegły wykazało przecież obniżenie dochodów, wobec czego książę pan widział się zmuszonym do ograniczenia swych wydatków i narzeka na niewdzięczność poddanych, którzy o nim zapomnieli. Jak dotąd neutralności wobec obu stron walczących nie naruszył, owszem, oświadczył nawet, że mu wszystko jedno, kto gra w jego państwie, czy to członek dwuprzymierza, czy trójporozumienia i spodziewa się, że za to w roku przyszłym otrzyma nagrodę pokojową z fundacyi ś. p. Nobla, o którą ja już od lat kilku naprożno się staram i myślę, że ją kiedyś przecież dostanę.

A byłaby to dla mnie nagroda prawdziwie pokojowa, mógłbym bowiem wówczas wydać za mąż córki, których bez posagu nikt wziąć nie chce, miałbym więc w domu spokój, którego tak pożądam!

Czy się tego jednak doczekam, tego nie wiem.

Na zakończenie zostawiłem najsmutniejszą wiadomość. Do szeregu kłopotów, na jakie nas obecna wojna naraziła, przybywa nowy, a jest nim post od wódeczności! Odtąd zwykłemu śmiertelnikowi nie wolno pić kwaśnej z mocną, ani głąbikowej w kratkę, wolno natomiast używać na spirytusie denaturowanym i to tylko w pierwszorzędnych lokalach.

Sympatyczne biblioteki Kulczyńskiego, Gawlasa, Urbana, Siapsi i t. d. będą musiały zamknąć swe podwoje, ucierpi na tem niemało kulturalne i towarzyskie życie Krakowa, a także i przemysł krajowy.

Celem odstraszenia pijaków ustawiono nawet na Rynku armatę piętnastocentimetrowego kalibru, skierowaną wylotem w stronę ulicy Siennej, gdzie się właśnie znajduje jeden z najbardziej renomowanych handli napojów wyskokowych, słusznie tak nazwanych, gdyż po nadmiernem ich użyciu skacze człowiek nieraz, jak opętany.

I niech mi teraz kto powie, co mamy wobec tego pić, zwłaszcza, że grozi nam także brak piwa, a na razie przynajmniej ograniczenie jego sprzedaży. Mają być podobno zaprowadzone karty piwne, na wzór chlebowych, a osobna komisya orzecze, na ile bombek kogo stać dziennie. Będą też wyznaczone specyalne godziny, kiedy wolno gasić pragnienie pilzneńskim lub okocimskim nektarem.

Tak! Strasznych dożyliśmy czasów, a kto wie, czy nie nastaną jeszcze gorsze. Wisełka kochana wyschła już prawie do dna, brak wody i w miejskim wodociągu, wobec czego musiano także ograniczyć wyrób win węgierskich, czyli, innemi mówiąc słowy, gotowo dojść do tego, że trzeba będzie zginąć z pragnienia, a jest to, jak słyszałem z ust pewnego nieboszczyka, śmierć straszna, gdy tak człowiekowi przyschnie język do podniebienia, o czem już wspomina psalmista, nie pamiętam jednak w którym rozdziale.

Nadto, jak na złość, pojawiły się jeszcze jesiotry we Wiśle i wypijają nam wodę, nic sobie nie robiąc z zakazu magistratu, dotyczącego używania wody rzecznej do celów gospodarczych. Należy je wobec tego wyłapać i za karę zjeść, a mówił mi jeden ze znajomych, iż okaz przed miesiącem złowiony i potem rozsprzedany, był wcale smaczny, może tylko nieco za słony, kilogram bowiem jego cielska kosztował coś około czterech koron.

Kto ma pieniądze, może sobie na to pozwolić, ja nie mam, wobec tego jesiotra jeść nie będę, chyba, gdyby mi go przysłał w prezencie który z Szanownych Czytelników. Gdyby to zaś miało się spełnić, proszę pamiętać także i o przysłowiu łacińskiem, które mówi wyraźnie: *inter pisces, vinum misces,* co się na polskie tłumaczy: „ryby, grzyby, wieprzowina — potrzebują wina".



Zagadki do nagrody.

Szarady wojenne.

Ułożył St. Ekier, wychodźca z Krakowa.

1

Gdy *pierwszych wspak* czas przychodzi,
Smutne mamy lica,
Drugie jest to najzwyklejsza
Odmiana księżyca.
Całość miasto odzyskane,
Z wrogów „ewakuowane“.

2.

Trzecie nasze czyny,
Pierwszy o to proszę;
A imię Twe w świecie
Całym *drugie* — zgłoszę.
Po tak strasznym lęku
Całość w naszem ręku.

3.

Miasto, albo krewny...
W naszem ręku pewny!

4.

Pierwsze czasownik,
Zaś rzeczownik *drugie*.
Całość znosiła
Oblężenie długie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko współczesnego malarza polskiego.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Zawód. 3. Pojazd. 4. Malarz włoski. 5. Osobistość, znana z mitologii greckiej. 6. Miara powierzchni. 7. Liczebnik. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Równanie.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej powieściopisarki, w drugiem zaś tytuł jej utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{4}+\frac{c}{4}=x$$

$$\frac{d}{5}+\frac{e}{2}+\frac{f}{3}+\frac{g}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Miasto na Śląsku. b) Kwiat. c) Święty owad. d) Napój. e) Ryba. f) Człowiek, gorliwy w wykonywaniu zawodu. g) Gra.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Iza! Ścieki piję z ości. Iza! Tonę, chcę, sęk, miś, szczur.

Logogryf.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawiawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko wybitnego współczesnego literata polskiego.

```
        — □ —
        — □ —
        — □ —
      — — □ — —
    — — — □ — — —
      — — □ — —
        — □ —
        — □ —
      — — □ — —
        — □ —
        — □ —
        — □ —
      — — □ — —
    — — — □ — — —
  — — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Pierwiastek. 2. Część ciała. 3. Kwiat. 4. Bożek grecki. 5. Część owocu. 6. Pieszczota. 7. Krzew. 9. Okrzyk. 9. Naczynie. 10. Droga. 11. Gatunek wierzby. 12. Ptak. 13. Miasto w Belgii. 14. Roślina lekarska. 15. Zawód. 16. Uroczyste oświetlenie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ogród, ojciec, szach, ziele, dziwo, wzory, wanna.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób

WIT D SZARGA.

ERAZM Y PODOSKI.

OSKAR IWO Z. Z MĄDRY.

Dr. ROCH T. ZUSIMOW.

RUPERT KAROL ZOSZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *W. Przyborowskiego:* **Mgławica.** Powieść współczesna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Okienko:

T a l i a
a i j
l i l i a
i i k
a j a k s

Łamigłówka literacka:

Zgon Acerna.
Ifigenia w Taurydzie
Messyada.
Orland szalony.
Raj utracony.
Oberon.
Wróg ludu.
Incomparabile donna
Czaty.
Z ogni kupalnych

Logogryf:

L i n
a r a
m a j

Zadanie do przestawienia: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

Szarada: Malwina.

Równanie:

Kołomyjka + siano + siekiera + Rawicz = Kosiąkiewicz.
Gąsienica + gąsior + Jankowski + trzaski = Gąsiorkowski.

Logogryf:

P o b ó g
o l i w a
o r z e l
u k r o p
t r a w a
b r o d a
o p o k a
b u r a k
m a n n a
o g i e r
l a m p a
m i n ó g
a l i n a

Zadanie do przestawienia: Darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby.

Bilety wizytowe: Felietonista. Komendant dworca. Klarnecista. Kollator. Gorzelnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, R. Artosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A. Waga Kraków, K. Langer Berno. R. Królicki Krościenko n. D., Z. Szymanek Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Mróz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Przy asenterunku.

Lekarz: Co ci brakuje?
Poborowy: Pieniędzy!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego